**Fragment 1**

Po ciem­nościach pa­nujących w ka­na­le oślepiło go popołudnio­we słońce, które tak na­prawdę le­d­wie wyglądało zza chmur. Za­mknął oczy i po chwi­li znów je otwo­rzył. Znaj­do­wał się na środ­ku opu­sto­szałego pla­cu, który jak­by znał z ja­kie­goś zdjęcia. Nie zdzi­wiły go wy­bu­chy ani odgłosy strze­la­ni­ny – to było w Mu­zeum Po­wsta­nia na porządku dziennym. Zdzi­wił się do­pie­ro, kie­dy ktoś chwy­cił go za kark i przy­giął do zie­mi.

– Chyl łep, psa krew.

Mikołaj nie zro­zu­miał, ale na wszel­ki wy­pa­dek cofnął się w głąb włazu i przy­czaił na klam­rach. Po chwi­li w prześwi­cie nad nim po­ja­wiła się nie­zna­jo­ma twarz.

– Wyłazi? – za­py­tał jej właści­ciel.

– Ja­sne – od­po­wie­dział Mikołaj, za­chwy­co­ny ta­kim zwro­tem ak­cji.

Szy­ko­wało się coś na­prawdę nie­sa­mo­wi­te­go. Mikołaj wy­gra­mo­lił się na zewnątrz i przy­padł do zie­mi, pociągnięty w dół przez tam­te­go. Dziw­ny jakiś, pomyślał Mikołaj, od­czołgując się za nim od włazu. W pew­nym mo­men­cie mężczy­zna po­de­rwał się i zgięty wpół popędził do naj­bliższej bra­my. Mikołaj zro­bił to samo. Do­pie­ro w bra­mie miał okazję przyj­rzeć się no­we­mu zna­jo­me­mu. Stał przed nim młody, dwu­dzie­sto­pa­ro­let­ni mężczy­zna, szczerzący w uśmie­chu białe zęby. Miał pucołowatą, dzie­cinną twarz, krótkie czar­ne włosy i za­wa­diac­ki uśmiech.

– Nice, ha? Fi­nal­ly! Nasz po­wsta­nie.

– Pan… – wy­krztu­sił Mikołaj – kim…

– Pan Kim?! – Nie­zna­jo­my za­prze­czył gwałtow­nie, potrząsając głową. – Pan Lot­nik.

– Co? – Mikołaj osłupiał.

– Jak ma na imię? – za­py­tał nie­zna­jo­my.

– Kto? – Mikołaj się ro­zej­rzał. W bra­mie oprócz nich stało jesz­cze kil­ka osób. Nie­zna­jo­my dźgnął go pal­cem w pierś.

– To.

– To jest Mikołaj – przed­sta­wił się Mikołaj.

– Hi, Mi­ko­laj. – Nie­zna­jo­my wyciągnął rękę, którą Mikołaj uścisnął za­sko­czo­ny. – Ja­nek – oznaj­mił przy­jaźnie. – Ha­li­fax. – Rozłożył ręce na boki, udając sa­mo­lot. – Pif, paf, wiel­ka bum. Pali siem! – wrzasnął tak głośno, że kil­ko­ro lu­dzi stojących w bra­mie spoj­rzało w ich stronę. Tym­cza­sem Ja­nek, robiąc zmar­twioną minę, pod­winął jed­no ramię jak ran­ny ptak i za­de­mon­stro­wał upa­dek na bok. – Więźnia uciek! – oświad­czył trium­fal­nie.

– Aha – przy­taknął Mikołaj, który o dzi­wo zro­zu­miał, że cho­dzi o ka­ta­strofę lot­niczą sa­mo­lo­tu Jan­ka i jego ucieczkę z nie­wo­li.

W tym mo­men­cie do bra­my od stro­ny podwórka wpadł chłopak w wie­ku Mikołaja, le­d­wo wy­ha­mo­wał przed Jan­kiem i coś do nie­go wy­sa­pał. Ja­nek machnął ręką na pożegna­nie i wy­co­fał się z bra­my przez podwórze.

Mikołaj oszołomio­ny pa­trzył za nim przez chwilę, a kie­dy zniknął mu z oczu, prze­niósł wzrok na no­we­go przy­by­sza. Na wi­dok bu­fia­stych spodni do ko­lan i wy­tar­te­go swe­tra, w który był ubra­ny, aż otwo­rzył usta. To nie wyglądało na ob­cho­dy rocz­ni­cy wy­bu­chu po­wsta­nia ani na żadną in­sce­ni­zację czy re­kon­strukcję. Nowy chłopak pa­trzył na nie­go z wyraźnym roz­ba­wie­niem.

– Coś nie gra? – rzu­cił.

Zdu­mio­ny Mikołaj nie od­po­wie­dział.

– Pro­rok. – Chłopak wyciągnął rękę.

– Mikołaj.

– Skąd ta­kie kla­we szta­ny wy­trzasnąłeś? – Pro­rok roześmiał się.

– Co?

– To. – Pro­rok pociągnął go za no­gawkę jego spodni. – Mu­cha nie sia­da.

O co mu cho­dzi, pomyślał Mikołaj, to prze­cież zwykłe je­an­sy. Sam wygląda nie naj­le­piej. Zdzi­wiło go, że są tak różnie ubra­ni. Przez chwilę się nie od­zy­wał, aż w końcu zadał dręczące go py­ta­nie.

– To… – machnął ręką w kie­run­ku opu­sto­szałego pla­cu i wy­so­kie­go bu­dyn­ku, skąd do­bie­gały strzały – po­wsta­nie war­szaw­skie?

– Nie, li­sto­pa­do­we – prychnął Pro­rok.

– Tak czy in­a­czej, prze­gra­liście.

Łagod­ne oczy Pro­ro­ka po­ciem­niały. Swe­ter prze­wie­szo­ny przez ramię wylądował na zie­mi, dłonie za­cisnęły w pięści, twarz wy­krzy­wiła. Jed­nym su­sem do­padł Mikołaja i wziął za­mach. Mikołaj cofnął się gwałtow­nie.

– Powtórz! – syknął Pro­rok.

W jego oczach czaiła się wściekłość. Widać to jego słaby punkt, pomyślał Mikołaj i zro­bił jesz­cze je­den krok w tył.

– Coś mi się pokręciło – bąknął.

Pro­rok opuścił pięści. Przez chwilę pa­trzy­li na sie­bie w mil­cze­niu.

– Znasz Jan­ka? – za­py­tał Mikołaj, żeby rozłado­wać sy­tu­ację.

– Zaj­mu­je się dor­sza­mi – od­po­wie­dział Pro­rok, pod­nosząc swe­ter.

– Ma sklep ryb­ny? – za­py­tał Mikołaj z na­dzieją, że uda mu się zna­leźć jakiś punkt za­cze­pie­nia w no­wej rze­czy­wi­stości.

Pro­rok przyglądał się Mikołajo­wi zmrużony­mi ocza­mi.

– Z cho­in­ki się urwałeś? Dor­sze to an­giel­scy jeńcy wo­jen­ni, którzy ucie­kli z nie­miec­kich obozów. A ty? Skąd się tu wziąłeś?

– Ja? – Mikołaj zupełnie nie wie­dział, co ma od­po­wie­dzieć. – Prze­szedłem tu kanałem – powie­dział zgod­nie z prawdą.

– Kanałem? – Pro­rok gwizdnął z uzna­niem. – Idzie­my?

Mikołajo­wi nie trze­ba było dwa razy po­wta­rzać. Wy­sko­czył z bra­my za Pro­ro­kiem, ale obaj cofnęli się równie prędko, jak wy­pa­dli na ulicę, po­nie­waż na pla­cu wywiązała się strze­la­ni­na. Od bra­my do bra­my prze­ska­ki­wał mężczy­zna w ułańskiej ro­ga­tyw­ce, z ka­ra­bi­nem w jed­nej, a laską w dru­giej ręce. Wy­ma­chi­wał nią bar­dzo ener­gicz­nie w kie­run­ku naj­wyższe­go bu­dyn­ku na pla­cu.”

**Fragment 2**

Pa­trzył za nimi zdez­o­rien­to­wa­ny. Gdzie ka­me­ry, ope­ra­to­rzy, reżyser? Ro­zej­rzał się po uli­cy i przy be­to­no­wym ba­se­nie za­uważył ekipę fil­mową. Zbie­ra­li się już. Cho­wa­li ka­me­ry, pa­ko­wa­li taśmy. Ale gra­ty, pomyślał Woj­tek i na­gle ude­rzyło go to, że fil­mowcy pa­so­wa­li jak ulał do oto­cze­nia. Jak po­wie­działaby jego pani od pol­skie­go: „wyglądali jak z epo­ki”. I wte­dy po raz pierw­szy prze­mknęło mu przez głowę, że wszyst­ko do­okoła to nie in­sce­ni­za­cja po­wsta­nia i nie plan fil­mowy. Że to sier­pień 1944!

Bzdu­ra, wzru­szył ra­mio­na­mi. Nie ma we­hi­kułów cza­su, po­wrotów do przeszłości, ta­kie rze­czy dzieją się tyl­ko w fil­mach i książkach. Znajdę Mikołaja, sko­pię mu tyłek, wra­ca­my do mu­zeum, a stamtąd do domu. Po chwi­li na­mysłu zmie­nił ko­lej­ność: znajdę Mikołaja, wrócimy do domu i do­pie­ro wte­dy go zleję. Nie za­mie­rzał w tym dziw­nym miej­scu zo­sta­wać dłużej, niż było to ko­niecz­ne.

Przez plac wra­cała właśnie dziew­czy­na z ka­ra­bi­nem, który Woj­tek przed chwilą wziął za atrapę. Szła w jego kie­run­ku, ale tym ra­zem sama. Ładna była: szczupła, wy­so­ka, czar­nowłosa. Woj­tek, za­po­mi­nając o Mikołaju, zno­wu przy­sta­wił dwa pal­ce do skro­ni. Ale ona minęła go bez słowa, tyl­ko jej czar­ne loki, spięte w koński ogon, zakołysały się gniew­nie. Ka­ra­bin, prze­wie­szo­ny przez ramię, również.

– To – zawołał Woj­tek, żeby ją za­trzy­mać – Pru­den­tial?

– Opuść łapę – od­po­wie­działa, nie od­wra­cając się.

Jej głos za­brzmiał roz­ka­zująco i Woj­tek posłusznie opuścił sa­lu­tującą dłoń. Dziew­czy­na po­deszła do nie­go. Patrząc na nią, po­czuł się idio­tycz­nie. Ja­sne, że to był Pru­den­tial, praw­dzi­wy, nie żadna de­ko­ra­cja, a to gma­szy­sko obok to bu­dy­nek Pocz­ty Głównej. Prze­cież słyszał, co mówił lek­tor w kro­ni­ce. Z bu­dyn­ku dra­pa­cza chmur wy­bie­ga­li za­afe­ro­wa­ni chłopcy z biało-czer­wo­ny­mi opa­ska­mi, wy­pro­wa­dza­no też ko­lej­nych prze­stra­szo­nych jeńców. Ona też, jesz­cze przed chwilą, pro­wa­dziła jeńców, a nie żad­nych sta­tystów. Ja­sna cho­le­ra, zaklął w du­chu Woj­tek, kie­dy do­tarło do nie­go, że tra­fił do „nia. Z wrażenia zro­biło mu się gorąco. Nie miał pojęcia, jak to było możliwe, ale jed­ne­go był pew­ny: Mikołaj ma­czał w tym pal­ce!

Po pierw­szej fali oszołomie­nia po­czuł, jak ogar­nia go zgro­za. Nie­za­leżnie od tego, jak głęboko Woj­tek wci­skał so­bie słuchaw­ki ipo­da do uszu pod­czas ob­chodów rocz­ni­cy wy­bu­chu po­wsta­nia, wie­dział, jak się zakończyło. Porażką, prze­graną, klęską, po­gro­mem. Lud­ność cy­wil­na zdzie­siątko­wa­na, po­wstańcy po­ko­na­ni, mia­sto zrówna­ne z zie­mią. Ro­zej­rzał się po ogar­niętej eu­fo­rią uli­cy i nogi się pod nim ugięły. Nie dla­te­go, że się prze­stra­szył, że po­dzie­li los tych lu­dzi, bo to nie przyszło mu do głowy. Nie dla­te­go, że bał się o Mikołaja, bo na ra­zie był na nie­go głównie zły. Na­gle uświa­do­mił so­bie, że tra­fił do mia­sta żywych trupów. Ota­czających go lu­dzi za­raz roz­szar­pią kule lub przy­sy­pie gruz. Większość z nich nie przeżyje następnych kil­ku ty­go­dni. Za­trzy­mał wzrok na stojącej przed nim dziew­czy­nie. Ona również nie miała żad­nych szans.

– W porządku? – ode­zwała się trochę łagod­niej, bo pa­trzył na nią, jak­by zo­ba­czył zjawę.

Ten wy­stra­szo­ny chłopak przy­po­mi­nał jej Tad­ka, sąsia­da z Waw­ra, choć tam­ten był rudy, a on – ciem­ny blon­dyn. Ostat­nie spo­tka­nie z Tad­kiem za­pa­miętała do­brze, choć sta­rała się nie wra­cać myślami do tam­te­go dnia.

**Fragment 3**

Tym­cza­sem na podwórku plu­to­no­wy da­lej roz­dzie­lał za­da­nia. Wysyłał ko­lej­ne oso­by do prze­bi­ja­nia piw­nicz­nych murów po dru­giej stro­nie. Mały przy­dzie­lał im ki­lo­fy.

– Dla cie­bie mam za­da­nie spe­cjal­ne – zwrócił się do nie­go plu­to­no­wy, kie­dy wszy­scy się już ro­ze­szli. – Wi­działeś Dru­ha?

Mały kiwnął głową.

– Tego no­we­go?

– Miej na nie­go oko. Po­ma­gaj mu.„Ten chłopak, który po­ja­wił się tak na­gle, od początku plu­to­no­we­go za­sta­na­wiał. Nie wyglądał na po­wstańca; jed­nak na pew­no nie był szpie­giem. Gdy­by był, próbowałby się do po­wstańców upodob­nić, a ten nowy spra­wiał wrażenie kogoś nie z tej baj­ki. Cu­dzo­zie­miec? Zbyt do­brze mówił po pol­sku. Pew­nie po pro­stu jakiś nie­szko­dli­wy wa­riat. Ja­kie to miało zna­cze­nie? W su­mie żad­ne­go. Ważne, że był po ich stro­nie.

\*\*\*

Choć trochę cza­su już minęło, Woj­tek nadal stał przed ścianą i mie­rzył z ka­ra­bi­nu do białego zna­ku. Kie­dy na scho­dach do piw­ni­cy roz­legły się kro­ki, nie wie­dział, czy po­wi­nien opuścić ka­ra­bin i złapać ki­lof, czy wy­ce­lo­wać broń w nad­chodzącego. Za długo się za­sta­na­wiał i dla­te­go, kie­dy Mały pod­szedł, nadal stał, ce­lując w kre­do­wy znak.

– Ser­wus – chrząknął Mały.

– Cześć – burknął Woj­tek i szyb­ko odłożył ka­ra­bin pod ścianę, łapiąc w za­mian ki­lof.

– Mam cze­ko­ladę – po­wie­dział chłopiec.

– To ją zjedz – warknął Woj­tek.

– Po­trzeb­ne są cegły – ciągnął Mały.

– Za­raz – od­po­wie­dział Woj­tek wściekły, bo swoją gadką Mały zmu­szał go do zro­bie­nia tego, do cze­go wca­le się nie palił. Ale nie miał wyjścia, więc w końcu wziął za­mach i ude­rzył ciężkim ki­lo­fem w mur. Roz­legł się po­twor­ny huk, zadrżała cała ka­mie­ni­ca, aż dziw­ne, że się nie za­wa­liła. Po­sy­pały się kawałecz­ki ce­gieł, kurz i pył. Wszy­scy w pro­mie­niu kil­ku­dzie­sięciu metrów mu­sie­li to słyszeć. Woj­tek za­stygł prze­rażony. Mały przyglądał mu się uważnie.

Woj­tek ude­rzył w mur po raz dru­gi. Huk był nie mniej­szy; zno­wu zatrząsł się cały dom. Wy­da­wało się, że wa­le­nie w mur słychać na ki­lo­metr. Woj­tek wy­obrażał so­bie za­alar­mo­wa­nych hałasem Niemców, chwy­tających ka­ra­bi­ny i zbie­gających do piw­ni­cy. Już wi­dział, jak czają się po dru­giej stro­nie, ce­lując w otwór, który wy­bi­jał. Za­wa­hał się przed następnym ude­rze­niem, ale zno­wu po­czuł na so­bie wzrok Małego i walnął.

Ce­lo­wał w spo­je­nia pomiędzy cegłami, ale mur le­d­wo się ukru­szył. Za to już po kil­ku ude­rze­niach piw­nicz­ny ko­ry­tarz wypełnił się pyłem i nie było czym od­dy­chać. Pod pre­tek­stem za­czerp­nięcia po­wie­trza Woj­tek wy­sko­czył na zewnątrz, po­zo­sta­wiając na dole Małego, któremu pył wy­da­wał się nie prze­szka­dzać.

Po chwi­li zdo­był się na od­wagę i wrócił do ro­bo­ty. Mur w końcu zaczął się pod­da­wać, wy­pa­dały ko­lej­ne cegły. Mały za­ba­wiał go roz­mową, międląc w łapach cze­ko­ladę.

– Wca­le nie je­stem za mały, żeby wal­czyć – mówił.

„Woj­tek ukrad­kiem wsa­dził so­bie słuchaw­ki do uszu, żeby nie słyszeć jego pa­pla­ni­ny. Mały po­ga­dał jesz­cze chwilę, a po­tem za­brał się do no­sze­nia ce­gieł. Żeby mieć wol­ne ręce, mu­siał naj­pierw zjeść cze­ko­ladę, ale za­nim to zro­bił, jesz­cze raz spoj­rzał py­tająco na Wojt­ka. Po­gar­dli­we spoj­rze­nie, którym Woj­tek go ob­rzu­cił, skwi­to­wał wzru­sze­niem ra­mio­na­mi i z wiel­kim za­do­wo­le­niem pochłonął wszyst­ko, co trzy­mał w brud­nej ręce. Następnie wziął się do ro­bo­ty. Za­bie­rał te cegły, które były w miarę całe, układał je pod ścianą, a następnie wy­no­sił na górę i wra­cał po następne.

Co właści­wie mam zro­bić, jak już wy­walę dziurę, za­sta­na­wiał się Woj­tek, czując, jak bolą go całe ra­mio­na, a na dłoniach robią mu się pęche­rze. Przejść do sąsied­nie­go bu­dyn­ku i zająć go sa­mo­dziel­nie? Ale po­nie­waż otwór powiększał się po­wo­li, prze­stał o tym myśleć, bo nie za­po­wia­dało się, że uda mu się szyb­ko prze­do­stać do przy­ległej piw­ni­cy.

W końcu wybił wąskie przejście, przez które trud­no by się było ko­mu­kol­wiek prze­cisnąć. Na życze­nie po­wstańców mógł je w każdej chwi­li po­sze­rzyć. Wy­star­czyło moc­niej stuknąć w kil­ka ob­lu­zo­wa­nych ce­gieł brze­go­wych. Tym­cza­sem jed­nak wolał, aby po­zo­sta­wało wąziut­kie.

I właśnie w tym mo­men­cie na piw­nicz­nych scho­dach roz­legły się kro­ki. Woj­tek ode­tchnął z ulgą, bo od tej stro­ny nad­cho­dzić mo­gli tyl­ko swoi. Mały wra­cał naj­wy­raźniej z kil­ko­ma in­ny­mi po­wstańcami. Pro­wa­dził ich plu­to­no­wy, którego głos słychać było już z da­le­ka. Dla­te­go Woj­tek, nie cze­kając na roz­kaz, za­brał się do po­sze­rza­nia przejścia. O tym, że nie będzie to wy­ciecz­ka kra­jo­znaw­cza Ale­ja­mi, świad­czyła broń, którą po­wstańcy przy­nieśli ze sobą. Przydźwi­ga­li na­wet zdo­bycz­ny ka­ra­bin ma­szy­no­wy, wy­mon­to­wa­ny po­przed­nie­go dnia z czołgu. Je­den po dru­gim prze­cisnęli się na re­ko­ne­sans do sąsied­nie­go domu, a Woj­tek wy­szedł na zewnątrz, żeby ode­tchnąć.

Ob­ser­wo­wał, jak Mały wy­no­si cegły z piw­ni­cy i układa je pod ścianą. Na­gle zaświtała mu w głowie pew­na myśl. Za­wsze bar­dzo po­do­bała mu się me­to­da „po­daj cegłę”, więc po­ra­dził Małemu, żeby roz­sta­wił pałętających się chłopców i cy­wi­li na całej długości podwórka i w ten sposób trans­por­to­wał cegły.

Po pew­nym cza­sie po­wstańcy wrócili. Wy­pad się udał, Niemców po sąsiedz­ku już nie było. Te­raz dom należał do nich; roz­sta­wi­li w nim swo­je po­ste­run­ki. Dzięki plu­to­no­we­mu przy­padł Wojt­ko­wi w udzia­le za­szczyt wtasz­cze­nia nie­miec­kie­go ka­ra­bi­nu na dru­gie piętro w Ale­jach pod nu­me­rem 22. Pod­czas gdy po­wstańcy mon­to­wa­li go na bal­ko­nie, Woj­tek z po­mocą Małego zor­ga­ni­zo­wał do­stawę worków z pia­skiem.

Na­wet nie za­uważył, że za­padł wieczór. Na­gle po­czuł strasz­ny głód; bolały go ple­cy i ręce.

– Dziś też da­jesz dyla, syn­ku? – za­gaił plu­to­no­wy.„– Nie – po­wie­dział Woj­tek, bo nie miał siły się ru­szyć.

– To chodź.

We­szli do miesz­ka­nia na par­te­rze, gdzie sie­działo wie­lu po­wstańców w różnym wie­ku, w większości nie­wie­le star­szych od Wojt­ka. Niektórzy leżeli pod ścia­na­mi. Dziew­czy­ny, wśród których na szczęście nie było Lid­ki, przy­niosły coś do je­dze­nia i pi­cia. Ktoś podał im kub­ki z kawą. Woj­tek usiadł obok plu­to­no­we­go.

Zupełnie nie­ocze­ki­wa­nie w mro­ku za­brzmiała dum­na i za­dzior­na mu­zy­ka. To było coś zna­ne­go. Dźwięki roz­biegły się po wy­pa­lo­nych uli­cach, przez wy­bi­te okna wpadły do opusz­czo­nych miesz­kań i napełniły otuchą ser­ca siedzących po kątach po­wstańców. Moc­ne, odważne i donośne, ożywiły martwą ulicę. To mu­siał być Cho­pin. Niósł po­cie­sze­nie, koił ner­wy, do­da­wał siły i wia­ry.

Na złość Niem­com pia­ni­sta grał przy otwar­tym oknie. Każda po­wstańcza noc wypełnio­na mu­zyką i radością była zwy­cięstwem. Za­gra­niem Niem­com na no­sie. Na­tych­miast wście­kle za­ja­zgo­tały nie­miec­kie ka­ra­bi­ny, ale czołgi mil­czały. Po ciem­ku Niem­cy nie mo­gli prze­cież strze­lać na oślep, bo po­zy­cje po­wstańcze w wie­lu miej­scach prze­pla­tały się z nie­miec­ki­mi. Wie­czo­rem i w nocy tra­ci­li prze­wagę ogniową i mu­sie­li grzecz­nie słuchać.„Pia­ni­sta za­grał do końca i za­milkł. Jaka szko­da, pomyślał Woj­tek.

Jak­by spełniając jego życze­nie, po chwi­li roz­legła się dużo bar­dziej nie­okrze­sa­na i wesoła me­lo­dia. Ktoś grał W mu­ro­wa­nej piw­ni­cy. Woj­tek do­brze znał to wy­ko­na­nie. Nie pierw­szy raz słyszał po­dob­ny sza­lo­ny bieg po kla­wia­tu­rze. Tak grała tyl­ko jed­na oso­ba na świe­cie: Mikołaj. Więc nie tyl­ko żyje i ma się do­brze, ale jesz­cze do­rwał się do for­te­pia­nu! Po­wstańcom się po­do­bało. Naj­pierw nie­pa­rzy­sta, a za­raz po­tem pa­rzy­sta stro­na Alei obu­dziła się do życia, kla­ska­no w rytm, śpie­wa­no. A po­tem skocz­na mu­zy­ka ucichła i roz­legły się dźwięki jesz­cze bliższe ser­cu Wojt­ka: No­thing Else Mat­ters Me­tal­li­ki.

He­avy­me­ta­lo­wa bal­la­da roz­lała się po pu­stych prze­strze­niach i od­na­lazła roz­rzu­co­nych na po­ste­run­kach po­wstańców. Na­pi­sa­ny bli­sko pół wie­ku później utwór na­brał dziw­ne­go, nie­prze­wi­dzia­ne­go chy­ba przez Ja­me­sa Het­fiel­da zna­cze­nia. Jak­by prze­rzu­cił dla Wojt­ka most między dwo­ma świa­ta­mi.

Z błogo­sta­nu wytrącił go kuk­sa­niec.

– Znasz to? – zdzi­wił się plu­to­no­wy.

– Ja­sne – palnął Woj­tek i za­raz ugryzł się w język.

– Dziw­ne.

Oczy­wi­ste było, że poza nim nikt z obec­nych nie mógł znać tego utwo­ru, ale chy­ba im się po­do­bał, bo sie­dzie­li zasłucha­ni. W głębi du­szy Woj­tek przy­znał bra­tu punkt za to, że im to za­grał.

Dźwięki for­te­pia­nu prze­brzmiały, ale lu­dzie nie za­mie­rza­li się roz­cho­dzić. Nie mie­li prze­cież dokąd iść. Zaczęli nucić. Pio­sen­ki, które po­nad pół wie­ku później na sztyw­nych uro­czy­stościach państwo­wych wy­ko­ny­wa­li starsi kom­ba­tan­ci i kom­ba­tant­ki, tu­taj śpie­wa­li chłopcy i dziew­czy­ny w wie­ku Wojt­ka. Na­wet on znał tekst. Początek War­sza­wian­ki mam­ro­tał nie­wy­raźnie pod no­sem, przy „Hej, kto Po­lak, na ba­gne­ty” wahał się już tyl­ko nie­znacz­nie, a kie­dy do­strzegł, że do miesz­ka­nia wśli­zgnęła się czar­nowłosa dziew­czy­na, za­ry­czał pełną pier­sią. Lid­ka usiadła pod ścianą, pew­nie w gru­pie swo­ich zna­jo­mych, pod­ciągnęła ko­la­na pod brodę i nie­dbałym ru­chem roz­puściła włosy, które fa­la­mi opadły jej na ra­mio­na. Woj­tek siedzący na­prze­ciw­ko na mo­ment zgu­bił rytm, ale po chwi­li zno­wu śpie­wał głośno i z zapałem.

Mały ob­ser­wo­wał go uważnie z kąta.